

Co Stychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

.. The.. Polish Fortnightly Digest



ROK V.

Nr.2/132 20. I. 1944

6d.

1. CZY WIECIE, ŻE.....	str. 30, 38.
2. ZGODA POLSKI.....	31.
3. JAK WYGRYWAĆ WOJNY.....	32.
4. SIR ARTHUR TEDDER.....	37.
5. KODEKS KORSYKAŃSKICH PARTYZANTÓW.....	40.
6. PRZYGODY SZWEDA W ITALII.....	43.
7. RAPORT GEN. STRONGA.....	46.
8. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA.....	49.
9. CO NIEMCY MYŚLĄ O ANGLII.....	54.

OKŁADKA: Głowa Sir Bernarda MONTGOMERY, narysowana przez Stanley'a Parker'a.

Czy wiecie, że...

W grudniu ubiegłego roku zdechł w Anglii koń wysłigowy, zwany Windsor Lad. W fakcie tym nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie świetna kariera tego konia i cena, którą za niego zapłacono.

Za rocznego źrebaka maharadża Rajpipla zapłacił 1.300 gwinei. Po wygraniu Derby maharadża odsprzedał go niejakiemu Mr. M. H. Benson'owi za... 50.000 funtów sterlingów. Ładny grosz, jak za jednego konia.

W trzy lata potem Windsor Lad niebezpiecznie zachorował. Właściciel jego wolałby, ażeby on już nie wyszedł z tej choroby, ale towarzystwo ubezpieczeń, w którym zaasekurowany był na ogromną sumę £:45.000 uczyniło wszystko, ażeby konia uratować.

Najlepsi brytyjscy weterynarze w asystencji doktora medycyny, lekarza-chirurga, przeprowadzili niebezpieczną operację, lecz konia uratowali. Windsor Lad powrócił do zdrowia i nawet ponownie został uznany za zdolnego do rozplodu.

Syn jego z czasu przedoperacyjnego - Windsor Slipper wygrał Irlandskie Derby i nagrodę St. Leger. Nie był on przy tym pobity w żadnym biegu.

W ogólności Windsor Lad wygrał dziewięć wyścigów, ogólnej wartości £:36.257. Był to naprawdę piękny i nadzwyczaj rasowy ogier.

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA PÓLROCZNA 6/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.
Tel. 53061.

Zgoda Polski.

B. minister Ignacy Matuszewski zwraca uwagę w artykule, w nowojorskim "Nowym Świecie", na niezwykle ważną zasadę w polityce polskiej. Na tle dzisiejszej sytuacji artykuł ten jest bardzo na czasie i dlatego podajemy jego pełny tekst.

"Rząd Polski powinien rozumieć, jak dalece ważną sprawą jest jego zgoda, lub niezgoda na cokolwiek. Jeśli Rząd Polski nie wyrazi zgody na decyzje, prowadzące do zguby Państwa Polskiego - to nigdy nie stana się one faktem uznanym przez prawo międzynarodowe i będą zawsze bezprawiem i gwałtem. W tej wojnie, której hasłem jest poszanowanie prawa - sytuacje oparte na gwałcie i bezprawiu mają znikome szanse trwania. Ale nawet gdyby tego nie brać pod uwagę - to i tak Rząd Polski winien mieć pełną świadomość, że jak długo on imieniem Polski, sprzeciwia się gwałtowi nad Polską, czy innym narodem - tak długo gwałt ten nie może stać się podstawą układu stosunków międzynarodowych. Dlatego to Katarzyna II-ga i Fryderyk Pruski domagali się od Sejmu Grodzieńskiego zatwierdzenia rozbiorów Polski. Rozbiory Polski stały się faktem w znaczeniu międzynarodowym - dopiero w chwili zatwierdzenia zniszczenia Polski przez Polaków. Dlatego, że Katarzyna i Fryderyk uzyskali zgode Polaków na gwałt nad Polską - dlatego Polska była w niewoli przez 135 lat. Od Sejmu Grodzieńskiego bowiem sprawa polska przestała być zagaźnieniem międzynarodowym.

Rząd Polski nie powinien poddawać się sugestii, że wypadki pola bitwy odbierają znaczenie jego słowu, jego "tak" lub "nie". Losy wojny zawsze są zmienne i wynik ostateczny na każdym froncie niewiadomy aż do końca. Nie wolno podczas wojny ulegać wrażeniom chwili. Nie wolno ulegać im nigdy zresztą - jeśli chodzi o byt państwa.

Dalej Rząd Polski nie powinien poddawać się wymaganiom zaprzepaszczenia Polski dla rzekomego "zabezpieczenia pomyślnego przebiegu wojny". Każdą wojnę prowadzi się nie dla jej "prowadzenia", lecz dla zwycięstwa. W ramach koalicji każde Państwo walczy przede wszystkim o zwycięstwo własne, a potem dopiero o zwycięstwo ogólne. Jesliby zażądano od Anglii, Ameryki, lub Rosji - by poświęcały one nie swój

wysiłek, lecz poświęciły swój byt "dla pomyślnego biegu wojny" - to ani Wielka Brytania, ani Stany Zjednoczone, ani Rosja oczywiście nie uczyniłyby tego. Churchill powiedział to pięknie i skusznie: "nie zostałem Premierem Rządu Jego Królewskiej Mości dla likwidacji Imperium Brytyjskiego". Gdyby Rząd Polski poddał się tej kądzickiej demagogii, jaką dzisiaj wielu świadomych i nieświadomych agentów sowieckich usiłuje przekonać Polaków, wstawiając, że mają oni poświęcić Polskę, bo inaczej wygranie wojny jest niemożliwe - gdyby Rząd Polski poddał się podobnej presji i zgodził się poświęcić zwycięstwo Rzplitej dla czyjejkolwiek wygody w "prowadzeniu wojny" - to zasłużyłoby na wieczyste potępienie historii, porówni z Sejmem Grodzieńskim.

Bohaterstwem narodu jest poświęcenie teraźniejszości dla przyszłości. Zdradą w narodzie jest poświęcenie przyszłości dla teraźniejszości. Naród Polski poświęcił dla przyszłości całą swoją teraźniejszość. Rząd Polski musi, jak wierny pies, strzec tego skarbu".

Jak wygrywać wojny?



Gen. Bernard Montgomery

Generał Sir Bernard Montgomery, mianowany ostatnio dowódcą wojsk brytyjskich, przeznaczonych do inwazji Kontynentu, udzielił korespondentowi British United Press niezwykle ciekawych i szczerych wyjaśnień, jak należy prowadzić nowoczesną wojnę. "Armia i lotnictwo muszą być ze sobą tak zespolone, że obie te siły winny tworzyć jedną pełną całość - wtedy nie jest w stanie

się jej oprzeć". - oto podstawowa zasada strategii "Monty'ego".

W walce dysponuje się pewną określoną siłą wojskową, złożoną z armii lądowej i lotnictwa. Ta strona walcząca, która najlepiej potrafi wykorzystać tę siłę, odnosi w walce zwycięstwo.

Trzeba nauczyć się myśleć jasno i trzeźwo i nie wol-

no mylić się w wielkich sprawach, które tworzą podstawowe zasady sztuki wojennej. Jeżeli w tych sprawach popełni się jakiś błąd, to im dalej, tym błąd staje się większy i bardziej grozi klęską. A oto podstawowe zasady, ujęte zgrubsza, które zapewniają zwycięstwo.

1. Należy wpieryw uzyskać przewagę w powietrzu, zanim się rozpoczyna walkę lądową, lub na morzu.

Jeżeli przestudiujemy przebieg kampanii, którą prowadziliśmy od El Alamein poprzez Tunis, Sycylię i Italię, to spostrzeżemy, iż ani razu nie rozpoczynaliśmy walki, dopóki nie osiągnęliśmy przewagi w powietrzu. Jest to jedna z głównych zasad nowoczesnej wojny. Nasza armia lądowa nie miała nigdy kłopotów z nieprzyjacielskim lotnictwem: R.A.F. miała to już na swym sumieniu i wypełniała to zadanie solidnie.

2. Drugą ważną zasadą jest, ażeby armia lądowa plus lotnictwo stanowiły absolutnie jedną całość. Jeżeli potrafiemy to uzyskać, końcowy wysiłek wojskowy będzie tak ogromny, że nic nie zdoła się nam oprzeć.

3. Trzecią bardzo ważną zasadą jest, ażeby lotnictwo było skoncentrowane i tworzyło zupełnie osobną jednostkę organizacyjną, pod dowództwem dowódcy lotniczego.

Twierdzę że byłoby wielkim błędem, gdyby żołnierz cnciał bezpośrednio dowodzić jednostkami uderzeniowymi lotnictwa. Dowodzenie i kierowanie walką wymaga studjów całego życia i wobec tego musi być zcentralizowane w rękach dowódcy-lotnika.

4. Następną zasadą jest, że dowódca armii kieruje całością wysiłku wojennego, a dowódca lotnictwa dostosowuje wysiłek lotnictwa do wspólnie opracowanego planu. To znaczy: niema dwóch planów bitwy - planu armii i planu lotnictwa, a istnieje tylko jeden plan - armia plus lotnictwo - opracowany wspólnie przez dowódcę armii i dowódcę lotnictwa. Wówczas dowódca lotnictwa dostosowuje użycie lotnictwa do wspólnie opracowanego planu, a dowódca armii kieruje całością wysiłku wojskowego.

5. Armia nie panuje w powietrzu, przeto obydwą sztaby - armii i lotnictwa - muszą zawsze znajdować się w jednej kwaterze głównej. Między obu tymi dowódcami musi panować absolutne zaufanie i współdziałanie.

nie. Każde z nich przede wszystkim musi rozumieć zadania i trudności drugiej strony.

To współdziałanie, ufność i wzajemne uzupełnianie się są bardzo ważnym czynnikiem. Szef sztabu lotnictwa i szef sztabu armii powinni być wielkimi przyjaciółmi. Jeżeli jest między nimi najmniejsze tarcie, musi to doprowadzić do zguby. Ci dwaj ludzie muszą być nie tylko związani przyjaźnią, lecz stale pracować wspólnie w ciągu całej prowadzonej kampanii.

Maszyna wojenna jest nader delikatną maszyną i jej kierownictwo może wyskoczyć człowiekowi z rąk bardzo łatwo... Ale dopóki panuje zaufanie i wzajemne współdziałanie, nie należy obawiać się trudności.

6. Każda ze stron musi zdawać sobie sprawę z trudności drugiej strony. Żołnierz musi pamiętać o tym, że lotnictwo ma przed sobą wiele trudnych problemów do wypełnienia. Lotnictwo naprzykład nie może przeprowadzać pomyslnie operacji, jeżeli nie posiada odpowiednich lotnisk, a uzyskanie ich należy do zadań armii lądowej. W Afryce i na Sycylii walczone przede wszystkim, ażeby zdobyć lotniska. Problemy, dotyczące lotnictwa, odgrywają wielką rolę przy opracowywaniu strategicznych planów.

Żołnierz musi dalej rozumieć, że danie lotnictwu lotnisk to jeszcze nie wszystko. Muszą być przeprowadzone do nich odpowiednie linie komunikacyjne, co znowu wymaga czasu. Jeżeli żołnierz tego nie rozumie i staje się niecierpliwy, to dzięki temu nie potrafiemy posunąć się bardziej naprzód.

Lotnictwo musi mieć lotniska dobrze bronione i jest to zadaniem armii. Żołnierz musi rozumieć, że lotnik jest nadzwyczaj czuły na punkcie lotnisk. Jeżeli to uczucie sobie zlekceważymy, możemy się spotkać natychmiast z odpowiednim oddźwiękiem.

Z drugiej strony lotnik musi również pamiętać o czułych punktach żołnierza. W walce lądowej przeogromne znaczenie posiada rozpoznanie lotnicze. Jest to po prostu dla nas kwestia życia. Ciągłe tylko myślimy o tym, jakby otrzymać dobre zdjęcie pozycji nieprzyjacielskich i jego ruchów.

Złe jest, jeżeli lotnictwo nie posiada odpowiednich samolotów. Lotnictwo rozpoznawcze musi być wyposażone w odpowiedni sprzęt lotniczy. Jest nadzwyczaj

ważnym, ażeby dowódcy lotnictwa to rozumieli. Nie dobrze jest, jeżeli samoloty muszą naprzykład latać na wysokości 20.000 stóp z obawy, że niżej mogą być stracone. Trudno jest otrzymać dobre zdjęcia i jasne szczegóły z wysokości ponad 15.000 stóp, a bez tego wywiadu armia współczesna nie może wiele zdziałać. Trzeba wtedy walczyć prawie na ślepo.

Co się tyczy siły uderzeniowej lotnictwa bombowego w walkach lądowych, zdołaliśmy doprowadzić akcję do możliwie najwyższego szczytu. Rozpoczęliśmy ten rodzaj walki jeszcze w Afryce i doszliśmy obecnie do tego, że w bitwie pod Sangro w kwaterze głównej stale urzędował dowódca grupy, kierujący lekkie myśliwskie bombowce na punkty, które należało zaatakować w danym momencie.

Rola myśliwskich bombowców w bitwie sił lądowych jest dzisiaj bardzo wielką. Zdarzają się jednak często wypadki, że własny samolot ostrzeliwuje lub bombarduje własne oddziały. Armia jest na to przygotowana, choć nie bardzo z tego rada. Żołnierz jednak nigdy nie klnie z tego powodu. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tych faktów, ale nie staramy się wcale dlatego wyłączyć lotnictwo od udziału w walce. Musimy po prostu się z tym faktem pogodzić.

Walcząc przeciw dobremu żołnierzowi - a Niemców trzeba nazwać doskonałym, świetnie wyćwiczonym i pierwszej klasy żołnierzem - nie można przeciw takiemu przeciwnikowi działać bez absolutnie pełnego poparcia lotnictwa. Muszę nawet pójść dalej. Przyzwyczajaliśmy się używać terminu: - "Współdziałanie armii". - Dzisiaj już na ten temat nic się nie mówi. Lotnictwo i 8-ma Armia stanowią jedną siłę. Termin "Współdziałanie armii" nie znaczy dla nas nic. Nie rozumiemy już tego określenia. Tam gdzie te dwie bronie nie tworzą jednej całości, nie można marzyć o skutecznym prowadzeniu operacji wojskowych.

Reasumując powyżej powiedziane, jeżeli potrafiemy nadal łączyć wysiłki lotnictwa i armii lądowej, nic nie ostoi się tej zjednoczonej potędze i nie możemy wtedy absolutnie przegrać żadnej bitwy.

Nawet w marzeniu nie ośmieliłbym się uderzyć pod El Alamein bez pomocy pustynnej siły powietrznej za moimi plecami. Każdy żołnierz i każdy lotnik wie o tym doskonale. Jesteśmy jedną masą.

Bitwa pod Sangro była świetnym przykładem strategicznym, wykazującym najdobitniej, że niczego nie można dokonać bez pomocy świetnie wyszkolonego lotnictwa. Bombardowanie pozycji nieprzyjacielskich było wprost straszliwe.

Dowódca grupy przy naszej kwaterze głównej zwykł był mawiać: "Dwa dywizjony startują, które miejsca mają być zbombardowane"? Dowództwo armii odpowiadało: "Rzućcie je tu i tu", i samoloty zniżają lot i bombardują dokładnie wskazane im przez radio punkty.

Od samego początku pracowaliśmy bez przerwy nad pełnym połączeniem działania obu sił i teraz widzimy, jakie osiągnęliśmy rezultaty. Śmiem wątpić, czy znaleździemy w jakiegokolwiek armii tak wysoko posuniętą kooperację. Napewno niema jej w armii niemieckiej. Oni bardzo mało osiągnęli na tym punkcie. Mogę rzec śmiało że Niemcy nawet nie próbowali przeprowadzić u siebie tej akcji, w pełnym tego słowa znaczeniu.

My potrafiliśmy dojść w tej pracy do szczytu i jesteśmy przekonani że nie mogliśmy walczyć pomyślnie bez osiągnięcia zupełnie skoordynowanej współpracy obu broni. -

- B.U.P. -

Czy wiecie, że...



Mrs. Lloyd George.

Nie każdemu pewnie jest wiadomym, że sędziwy Mr. Lloyd George ożenił się niedawno z niejaką Miss Frances L. Stevenson.

Miss Stevenson była w roku 1911 nauczycielką. Ojciec jej piastował w tym czasie urząd Kanclerza Skarbu. Pewnego razu Mr. Lloyd George zaprosił Frances na Downing Street i powierzył jej jakąś pracę. Wykonała ona ją tak dobrze, że zdumiony minister postanowił zatrzymać Miss Stevenson, jako swą prywatną sekretarkę. Pracowała ona z nim w ciągu 32 lat.

W czasie konferencji pokojowej w Wersalu pannę Stevenson zwano "The Blonde Bewilderment of Versailles". Ludzie nie mogli pojąć, aby tak piękna dziewczyna mogła pracować tylko jako sekretarka wielkiego polityka.

Miss Stevenson była najdłuższym współpracownikiem

Dok. na str. 20.

Sir Arthur Tedder.

W dniu 2-go stycznia b.r. "Observer" wydrukował bardzo ciekawy, skondensowany opis działalności wojskowo-lotniczej marszałka lotnictwa, Sir Arthura Teddera.

Fachowcy nazywają Teddera bardziej praktycznym lotnikiem, aniżeli nim jest major Seversky. Marszałek Tedder w ostatnich dniach został mianowany jednym z zastępców naczelnego dowódcy europejskich sił inwazyjnych w Europie, gen. Eisenhovera. Będzie on miał wielki głos przy planowaniu inwazji Europy i dowodzeniu połączonymi siłami Sprzymierzonych.

Dla zwolenników przewagi powietrznej nominacja ta była nader miłą niespodzianką. Wskazuje ona bowiem, iż minęły już czasy, gdy lotnictwo było bronią pomocniczą w stosunku do armii i floty. Oznacza to również że najwyższe **czynniki wojskowe** doszły wreszcie do wniosku, że siły powietrzne wywierają decydujący wpływ na prowadzenie operacji wojskowych w Europie. A marszałek Tedder zasługuje na to, ażeby być tym, który wyniósł znaczenie skrzydeł na taki piedestał. Dla zwykłej publiczności, Tedder może być człowiekiem z fajką w zębach i uśmiechem na twarzy. Tym, który odbył spokojnie, bez hałasu swą wędrówkę z Whitgift do Cambridge, z Cambridge do armii, a stąd znowu do Królewskich Sił powietrznych:

Ale dla wtajemniczonych jest on świetnym fachowcem w strategii, wprowadzającym w życie nowoczesne zasady współdziałania lotnictwa z siłami lądowymi.

Jego kariera rozpoczęła się naprawdę w roku 1940, kiedy został wysłany do Egiptu, jako zastępca Sira Arthura Longmore, dowódcy sił powietrznych na Środkowym Wschodzie. Samodzielne dowództwo objął w 1941 roku, t.j. wtedy, kiedy R.A.F. posiadała już znakomitą reputację, jako broń **defensywna**, ale nie miała dość aparatów dla przeprowadzenia akcji **ofensywnej**.

Najlepsze pościgowce i bombowce trzeba było trzymać w pogotowiu w Wielkiej Brytanii. Sir Arthurowi oddano do dyspozycji stosunkowo małe siły.

Mimo to, jeszcze mu zabierano ciągle część jego sił na inne, bardziej politycznie lub strategicznie zagrożone w owym czasie, fronty.

Gdy Rommel przerwał front pod El Aghella, marszałek Tedder posiadał już wtedy przewagę w powietrzu. Nie zdołało to jednak powstrzymać Rommela i zdawało się wtedy, że Brytyjczycy nie przeniknęli jeszcze tajemnicy współdziałania Wehrmachtu z Luftwaffe, które pozwalało tym połączonym siłom rozбивać wszelki napotkany opór.

W rzeczywistości jednak Tedder panował nad sytuacją. Posiadał on całkowitą pewność pobicia Niemców przez armię brytyjską i zawsze twierdził, że jeżeli siły lądowe potrafią powstrzymać nieprzyjaciela, lotnictwo spełni swe zadanie. Tak się też i stało. Niemców zatrzymano i Tedder dalej bez przerwy panował w powietrzu: na czele swych dywizjonów samolotów poscigowych, lekkich i ciężkich bombowców, marszałek Tedder dał niespotykaną dotąd pomoc armii gen. Montgomery w jego marszu od El Alamein do Cape Bon i dalej.

Ten były oficer pułku z Dorset /mianowany w 1913 roku/, ten spokojny lotnik, który w swoim czasie zdobył dyplom naukowy w kolegium Magdalene, stał się znakomitym strategiem. Spostrzegł on, że to, co jest dobre dla niemieckiej armii, nie musi być koniecznie wzorem dla osiągnięcia nad nią zwycięstwa. Wiedział on, że w każdym wypadku musi najprzód stoczyć z nieprzyjacielem walkę w powietrzu, a potem dopiero rzucić całą swą siłę na pomoc armii lądowej. Tego Niemcy przy zawojowaniu Europy nie potrzebowali czynić, nie mieli bowiem przeciw sobie sił powietrznych, któreby trzeba było unieszkodliwić lub osłabić. Tedder wierzy w to, że nie można osiągnąć decydującego sukcesu na lądzie, dopóki nieprzyjacielskie siły powietrzne nie są rozbite lub choćby unieszkodliwione. Potrafił on przy tym przekonać dowódców armii, że jakkolwiek walka winna być prowadzona pod ich dowództwem, jednak lotnictwo musi być dowodzone przez lotnika. W ten sposób ostatecznie został obalony projekt rozproszenia lotnictwa przez rozdzielenie go na małe części, przydzielone do poszczególnych jednostek armii lądowej.

Kiedy Tedder był jeszcze dowódcą lotnictwa na Morzu



Air Marshall
Arthur Tedder.

Sródziemnym, jego ideałem było stworzenie tak doskonałej osłony z powietrza, ażeby żaden okręt czy pojedynczy nawet żołnierz nie mógł być zaatakowany przez nieprzyjacielski samolot. Jest to, rozumie się, niemożliwe do osiągnięcia, wiedział on jednak, że jeżeli flota nie pracuje swobodnie, to nie potrafi dozwolnić zaopatrzenia, a jeżeli armia się nie posuwa naprzód, niemożliwym jest zdobycie nowych i bezpiecznych baz lotniczych.

Pomógł on gen. Eisenhowerowi nie tylko osiągnąć doskonałe rezultaty w strategicznym i taktycznym współdziałaniu wszystkich trzech broni, lecz przyczynił się również do ściślejszej współpracy armii brytyjskiej i amerykańskiej. Jego wielkim atutem było posiadanie przewagi lotnictwa sojuszniczego nad Luftwaffe. Kesselringa

lekceważył on sobie, gdyż uważał go zawsze za pseudo-lotnika. Jest przy tym bardzo ostrożny w swych strategicznych kalkulacjach: wie on dobrze, że chociaż lotnictwo niemieckie zostało pobite w rejonie Morza Śródziemnego, jest ono jeszcze bardzo silne w Zachodniej Europie. I wiadomym jest iż ten spokojny, o chłopięcej twarzy człowiek, będzie się starał z całą bezwzględnością wyzyskać każdy swój samolot, aby osiągnąć z góry wykreślone cele w punktach atakowanych

Tedder, podobnie do wielu innych oficerów, przeszedł jeszcze w 1916 roku z armii do lotnictwa. Odczuwał zawsze szaloną pasję do latania. Walczył we Francji jako pilot, potem dowodził 70-tym dywizjonem mniej więcej w styczniu 1917 roku. W dwa lata później, gdy lotnictwo brytyjskie zredukowano do minimum, Tedder otrzymał swój stały przydział.

W okresie pokojowym poświęcił się całkowicie pracy dla lotnictwa. W tym czasie ogólnego rozbrojenia nie było wielkich możliwości, potrafił on jednak przejść wszystkie szczeble, potrzebne do osiągnięcia w przyszłości wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska. Przez dwa lata bez przerwy prowadził szkołę lotniczą; w 1928 r. awansował

na dowódcę skrzydła, i w tym czasie ukończył Imperial Defence College. Od 1929 do 1931 współdziałał w pracy i w kierowaniu wyższą szkołą lotniczą.

Przez pewien czas był dyrektorem szkoły lotniczej w Eastchurch, potem został kierownikiem wyszkolenia w ministerstwie lotnictwa.

W 1936 roku odkomenderowany został do Singapore, jako dowódca lotnictwa na Dalekim Wschodzie.

Do Londynu powrócił w 1938 roku i objął stanowisko generalnego dyrektora Instytutu Badań i Studiów lotniczych. W czasie Bitwy o Wielką Brytanię, ten doskonały strategik wyznaczony został na zastępcę dyrektora w ministerstwie lotnictwa.

Na szczęście posłano go wkrótce do Egiptu, gdzie jego rozmach i przenikliwość uczyniły go idealnym dowódcą tamtejszego lotnictwa.

Tedder nie lubi ceremonii i nie znosi szykanujących zakazów. Wkrótce dał się poznać wszystkim z powodu zawziętości z jaką starał się wspomagać armię lądową.

Wojna przyniosła mu tryumfy, smutek a potem szczęście. Najstarszy syn poległ jako pilot bombowy, a żona zginęła w wypadku samolotowym. Ale ostatnio marszałek Tedder ożenił się ponownie.

Obecnie, gdy czekają go nowe wielkie zadania, wszyscy jego podwładni, którzy walczyli pod nim od Egiptu aż do Italii, a którzy kochali go za jego humor, uprzejmość i zdrowy sens, życzą mu szczęścia na nowym, ciężkim i odpowiedzialnym posterunku.

Kodeks Korykańskich partyzantów.

W całej Europie pod okupacją niemiecką zorganizowana jest partyzantka na większą lub mniejszą skalę. Organizacje podziemne pracują bardziej lub mniej planowo, w miarę jednak pogarszającej się sytuacji Niemiec, wychodzą coraz więcej na powierzchnię.

Przypuszczalnie wszystkie one posiadają jakiś wewnętrzny kodeks czy regulaminy, w zależności od warunków, w jakich muszą walczyć.

Dla nas najbardziej interesującą jest Organizacja Podziemna Polski, o której ostatnio wiele słyszemy. Będzie to w przyszłości ciekawy temat dla historyków, zgłębiających stosowane w niej metody organizacyjne i badających całą działalność tej zaiste trudnej, w naszych warunkach terenowych, roboty.

News Chronicle opublikował przed niedawnym czasem zbiór paragrafów kodeksu partyzantów korsykańskich.

Jest to nader ciekawy dokument, wykazujący jaki duch panuje pośród **Francuzów**, chwilowo ujarzmiionych przez swych odwiecznych wrogów.

Podajemy go w dosłownym tłumaczeniu.

Korsyka jest bardzo górzystą wyspą. Góry korsykańskie pokryte są gęstymi krzakami, wysokości wzrostu człowieka, zwanymi "maquis" /gęstwina/. W dawnych czasach ukrywali się w nich korsykańscy bandyci, **wyjęci z pod prawa**. Zrywali oni wtedy wszelki kontakt ze światem zewnętrznym.

W naszych czasach nazwa "maquis" przyjęta została przez członków francuskiego ruchu podziemnego, którzy walczą z najazdem niemieckim. Organizacja podziemna na Korsyce zdekonspirowała się w okresie inwazji Włoch przez wojska sojusznicze i rozpoczęła z Niemcami otwartą walkę.

Każdy Francuz, zgłaszający się do organizacji podziemnej, czyni to nie tylko dlatego, aby uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec lecz przede wszystkim, aby służyć jako partyzant i bić się, jako żołnierz Walczącej Francji. Ludzie ci **dobrowolnie podporządkowują się** bardzo surowej dyscyplinie. Dokument, przywieziony niedawno z Francji, zawiera właśnie te przepisy, obowiązujące partyzantów francuskich. Oto niektóre z nich.

§1. Członek "Maquis" do końca tej wojny musi zapomnieć o wszelkich stosunkach, łączących go z rodziną i z przyjaciółmi. Musi zachować w największej tajemnicy kryjówkę organizacji oraz personalia swych dowódców i kolegów. Każde naruszenie tej zasady będzie karane śmiercią.

§2. Musi się pogodzić z tym, że rodzina jego nie będzie otrzymywała żadnej szczególnej pomocy, gdyż mogłoby to wzbudzić zazdrość otoczenia lub też spowodować denuncjację przez sąsiadów.

§3. Nie przyrzeka mu się wypłacania regularnie **żołdu i nawet przydziały żywności i broni mogą być niedostateczne**. Musi on pamiętać, że wszelkie świadczenia, dochodzące go, zdobyte zostały i dostarczone z wielkim wysiłkiem i dużymi trudnościami przez inne oddziały lub organizacje pomocnicze.

Musi on szanować prywatną własność i życie obywateli francuskich alianckich i neutralnych. Konieczne jest to nie tylko dlatego, że egzystencją oddziałów "Maquis" zależna jest od dobrych stosunków z ludnością, lecz przede wszystkim dlatego, że członkowie organizacji są doborową elitą naszego kraju i muszą każdemu dawać przykład i dowód, że prawdziwego Francuza cechuje odwaga i szlachetność.

§4. Konieczność zaopatrzenia i wyekwipowania oddziałów "Maquis" może zmusić nas do napadów na kantyny policji rządu Vichy lub też ich składy oraz do korzystania z zapasów **żywności** i ubrań, zgromadzonych przez państwową organizację opieki społecznej lub też przez towarzystwa pomocy jeńcom wojennym. Wyprawy te ograniczone będą do niezbędnej **konieczności** i przeprowadzane przez specjalnie dobranych ludzi o wysokim poziomie moralnym. Gdy organizacja zostanie już dobrze uzbrojona, akcja skierowana zostanie wyłącznie przeciw składom armii okupacyjnej.

§5. Przy zaciągu do organizacji nie stosuje się żadnych różnic z powodu wyznania lub przekonań **politycznych**. Wszyscy Francuzi, chcący walczyć z nieprzyjacielem, zarówno katolicy, protestanci, muzułmanie, żydzi jak i ateści, rojalisci, radykali, socjaliści lub komuniści, są mile w naszej organizacji **widziani**. Wszyscy ochotnicy zobowiązują się szanować przekonania i wierzenia swych kolegów.

§6. Każdy żołnierz musi wyzbyć się swych osobistych wygod, swego egoizmu i samolubstwa, nawet swych indywidualnych gustów i przyzwyczajeń. Od każdego wymaga się zawsze poświęcenia samego siebie dla ratowania towarzysza, walki i pracy nawet wtedy, gdy **jest się zupełnie wyczerpanym** z sił oraz stanięcia w obliczu niebezpieczeństwa, gdy jest to niezbędne. Żaden ranny nie może być pozostawiony **za sobą**. Zabici muszą być także zabrani i pochowani, gdziekolwiek jest to możliwym.

§7. Żaden ochotnik organizacji "Maquis" nie otrzyma broni, dopóki swym wyszkoleniem, wytrzymałością i dyscypliną nie udowodni, że jest godzien ją nosić. Broń jest mało i dlatego jest ona tak cenną. Każdy, **kto** otrzyma broń, musi się obchodzić z nią troskliwie, dokładnie ją czyścić i zawsze mieć ją w ręku lub przy boku, z wyjątkiem tych wypadków, gdy musi ją

dać do przeglądu rusznikarzowi. Zgubienie broni będzie karane śmiercią.

§8. Każdy członek organizacji "Maquis" jest wrogiem marszałka Petain'a i tych zdrajców, którzy mu służą.

Francja żyje i będzie żyła.

Przygody Szweda w Italii.

Korespondent NEWS CHRONICLE w Szwajcarii miał ciekawą rozmowę z młodym Szwedem, kapitanem R.A.F., który strącony został nad Sycylią w lecie ubiegłego roku, uciekł z obozu jeńców i przez kilka miesięcy był przywódcą bandy partyzantów w północnych Włoszech. Lotnik nazywał się Herman Loennberg i był jednym z 2000 jeńców, którzy przedostali się do Szwajcarii po inwazji Włoch.

Loennberg wstąpił do R.A.F. jako ochotnik w lecie 1941 r. Z początku latał w nocnym dywizjonie myśliwskim, później został przeniesiony do dywizjonu bombowego w Afryce Północnej. Posiada on 5 francuskich odznaczeń.

W lecie 1942 r. został strącony nad Sycylią wraz z załogą, złożoną z sześciu ludzi. Błąkali się bez jedzenia i picia przez 3 dni, a po ujęciu ich przez włoski patrol, odesłani zostali do obozu jeńców we Włoszech. Tam Loennberg przebywał aż do kapitulacji Włoch. Gdy Niemcy objęli obozy, które nie zostały otwarte przez Włochów, Loennberg wraz z innymi został odesłany do Niemiec. Po drodze, pod Bresciami, zdołał wyskoczyć z pociągu i wyszedł bez szwanku, pomimo gęstego ognia z karabinu maszynowego. Wędrował przez dwa dni w ciągłej obawie schwymania go, aż wreszcie spotkał grupkę młodych Włochów. W obozie nauczył się nieco po włosku, ustalił więc bez trudu, że Włosi są zdemobilizowanymi żołnierzami, którzy jednak postanowili walczyć dalej, lecz tym razem przeciw Niemcom. Twierdzili oni, że broń i amunicję da się zdobyć w górach bardziej na północ, Loennberg przyłączył się przeto do nich i po kilku dniach znaleźli się w pobliżu jeziora Garda. Tam dopiero zaczęły się kłopoty.

Loennberg udał się w kierunku jeziora w nadziei, że uda mu się zdobyć żywność. W pewnej miejscowości powiedziano mu, że w pobliskiej willi znajduje się jakaś

ważna osobistość pod opieką lekarzy i oddziałów wojskowych. Nikt nie znał nazwiska tej osoby, gdyż nikt nie widział jej nazewnątrz willi, później jednak Loennberg doszedł do wniosku, że musiał to być sam Mussolini.

Uwaga redakcji. Prawdopodobnie chodzi tu o luksusową i pełną dzieł sztuki willę, ofiarowaną przez regime faszystowski jako dar narodowy, słynnemu włoskiemu poecie, powieściopisarzowi i dramaturgowi, Gabrielowi D'Annunzio. Willa ta leży na zboczu wzgórza, powyżej miejscowości Gardone, nad jeziorem Garda. W ogrodzie znajduje się, w całości przeniesiony włoski kontrtorpedowiec, na którym D'Annunzio zdobył w 1919 r. jugosłowiański port Fiume. Obok zaś znajdują się groby poległych w czasie wyprawy towarzyszy D'Annunzia, przykryte ogromnymi głazami. Mussolini w 1924 r. nadał poecie tytuł księcia Monte Nevoso. D'Annunzio, zmarły w 1938 r., spędził w willi koniec swego życia i Mussolini go tam odwiedzał.

Gdy Loennberg wracał ze swej nieudanej wyprawy, spotkał po drodze uzbrojonego niemieckiego żołnierza. Ten, biorąc go za włoskiego dezertera, chciał go aresztować. Udało się jednak żołnierza rozbroić i obezwładnić.

Grupa Loennberga kręciła się przez kilka dni w pobliżu jeziora, dopóki nie zdobyła niezbędnych rzeczy do dalszej podróży. W ciągu tego czasu Niemcy uznali, że willa nie jest bezpiecznym miejscem dla Mussoliniego i przewieźli go do pałacu na małej wysepce pośrodku jeziora Garda. Podobno dotychczas tam się znajduje.

Grupa Loennberga pomaszerowała dalej na północ i w drodze powiększyła się do cyfry 20 ludzi. Po tygodniu marszu dostali się w góry, gdzie otrzymali broń i amunicję, a Loennberga obrano dowódcą grupy. Zdecydowano rozpocząć walkę partyzancką i ulokowano się w małej wiosce górskiej. Przy pomocy górali zorganizowano służbę wywiadowczą w okolicy. Gdy Loennberg udawał się w teren, kilkaset metrów przed nim szedł stary Włoch lub Włoszka i ostrzegali go o zbliżaniu się Niemców lub faszystów. Wzdłuż drogi, biegnącej w dolinie, rozstawione były placówki, które donosiły o wszystkim, co się działo w okolicy.

Tymczasem Loennberg pospiesznie szkolił swych ludzi i po kilku dniach był gotów do pierwszej wyprawy. Cel wyprawy był prosty. Chodziło o zdobycie wełnianych

koców dla oddziału. Pomaszerowali wzdłuż górskiej doliny do fabryki, rozbili straż i zabrali 100 najlepszych koców. W ciągu następnych dni wykonano kilka dalszych wypraw. Między innymi odwiedziono pewną mleczarnię i zabrano 1000 kilo masła i 600 kilo sera. Robotnicy w mleczarni byli ogromnie zadowoleni, gdyż wszystkie zapasy zarekwirowane były przez Niemców.

Poza-tym grupa Loennberga zdobyła trzy ciężarowe samochody niemieckie przy czym w dwóch wypadkach musiano zastrzelić szoferów. Tak wyekwipowani i dobrze zaopatrzeni posunęli się dalej na północ i połączyli z innymi grupami partyzantów. Po dwóch dniach marszu spotkano brytyjskiego podporucznika i 7 żołnierzy, w tym jednego murzyna i 2 Serbów. Po takim wzmocnieniu sił, postanowiono zorganizować regularny partyzancki oddział i rozpocząć walkę. W międzyczasie przychwycono apel radiowy, wzywający do wzmożenia działalności dywersyjnej na tyłach niemieckich. 50 Włochów przyłączyło się do grupy Loennberga i kwaterę główną założono w samotnym hotelu górskim.

W ciągu następnych tygodni odbyło się kilka potyczek z patrolami niemieckimi i faszystowską milicją i wtedy Loennberg stwierdził, że na swych włoskich współtowarzyszy nie bardzo może liczyć. Jak tylko rozlegały się pierwsze strzały, Włosi wyrwali w lasy, zostawiając Loennberga samego z 15-20 ludźmi. Gdy im robiono wyrzuty odpowiadali, że poszli w góry nie poto, aby się bić, lecz aby uniknąć wywiezienia do Niemiec. Nie wszyscy Włosi byli jednak tchórzami i wielu biło się dobrze, a kilku nawet poległo. Pomiędzy pierwszymi zabitymi był murzyn i dwóch Anglików.

Niemcy sądzili, że Loennberg miał większe siły i dlatego bali się go atakować. Pewnego razu, gdy oddział odpoczywał w hotelu górskim, mieli chwilę porządnego strachu. Broń była rozebrana, a żołnierze zajęci jej czyszczeniem, gdy nagle otworzyły się drzwi i na progu stanął niemiecki żołnierz w pełnym uzbrojeniu. Był to dramatyczny moment, gdyż oddział był bezbronny i Niemiec mógł wystrzelać wszystkich jak owce. Lecz i tym razem szczęście dopisało Loennbergowi: Niemiec okazał się 19-o letnim dezertorem. Słyszał on, że w górach gdzieś znajdują się Brytyjczycy i postanowił przyłączyć się do nich, aby uciec do Szwajcarii. Po długiej rozmowie, pozwolono mu pozostać.

stać i później okazał się godnym zaufania i nieraz wiele pomógł. Mieszkał on całe życie we Francji i nienawidził Niemców. Marzył o tym, aby dostać się do oddziałów Wolnych Francuzów lecz w tych warunkach nie było to rzeczą łatwą. Przeszedł później z całym oddziałem do Szwajcarii.

Loemberg prowadził jeszcze walkę partyzancką przez dwa tygodnie, doszedł jednak w końcu do wniosku, że musi jej zaprzestać, gdyż nie można było polegać na Włochach. Przeszedł więc do Szwajcarii po siedmiu dniach marszu, dzień i noc w głębokim śniegu.

Twierdzi on, że wszędzie we Włoszech napotkał na głęboką nienawiść do Niemców. Bardzo wielu Włochów narażało swe życie, pomagając jego oddziałowi. Przeważnie jednak Włosi bardziej boją się Niemców, niż ich nienawidzą.

"Gdyby wszyscy uciekinierzy, których spotkaliśmy w górach, chcieli zostać dobrymi partyzantami, mógłbym zorganizować całą armię. Ale w obecnych warunkach trzeba dużo czasu, nim istniejące oddziały mogłyby się stać istotnym niebezpieczeństwem dla armii Rommela".

Tak zakończył swe opowiadanie kapitan Loemberg.

Raport gen. Stronga.

Optymistyczny nastrój co do rychłego zakończenia wojny, wywołany bombardowaniem Niemiec i postępami ofensywy rosyjskiej, doznał obecnie znacznego ostudzenia. Przyczyniło się do tego opublikowanie treści tajnego dokumentu, zatytułowanego "Raport o siłę państw Osi". Dokument ten był odczytany na tajnym posiedzeniu amerykańskiego Kongresu i poza Kongresem i zaledwie kilku wybitnych przemysłowców zna jego treść. Autorem tego raportu jest generał George Strong, zastępca szefa sztabu i szef amerykańskiego wywiadu. Strong odczytał ten raport na posiedzeniu Kongresu w obecności sekretarza wojny Stimsona i generała Marshalla, szefa sztabu. Streszczenie tego raportu zostało rozesłane członkom Kongresu i od jednego z nich uzyskał go I. F. Stone, waszyngtoński korespondent nowojorskiego tygodnika THE NATION. Stone uzyskał zezwolenie cenzury amerykańskiej na opublikowanie wyjątków z tego raportu.

Treść tego raportu wprawi w zdumienie wielu optymistów.

Generał Strong stwierdza, że w ostatnim roku Niemcy

wystawili 60 nowych dywizji, każda wyposażona w 600 karabinów maszynowych i 300 dział i moździerzy. W ten sposób Niemcy pokryli z nadwyżką stratę 20 dywizji pod Stalingradem i 8 dywizji w północnej Afryce. Wyposażenie tych 60 dywizji daje pojęcie, co jest jeszcze wart przemysł niemiecki, mimo powietrznych bombardowań. Niemcy produkują czołgi i działa tej samej wartości, a często lepsze niż sprzęt Sprzymierzonych.

W czerwcu 1939 r. w niemieckim przemyśle wojennym pracowało 23 miliony ludzi. Dziś pracuje 35 milionów, w tym 7 milionów robotników obcych, jeńców cywilnych i wojennych. Sytuacja Niemiec w zakresie sił ludzkich uwypuklił się lepiej gdy dodamy, że pod kontrolą Niemiec w Europie znajduje się 325 milionów ludzi, którzy w pewnym stopniu, choćby przymusowo, pomagają Niemcom w ich wysiłku wojennym.

W zakresie zaopatrzenia w surowce i materiał wojenny, generał Strong również nie widzi zbyt dużego osłabienia Niemiec. Obecna produkcja stali wynosiła 42 miliony ton, a w 1938 r. wynosiła 25 milionów. Produkcja niemiecka węgla wynosiła w 1942 r. 186 milionów ton, a podbita Europa produkuje prawie dwa razy tyle dodatkowo.

Dzięki produkcji syntetycznego kauczuku Niemcy są samowystarczalni w zakresie zaopatrzenia w gumę. Jest pewien brak olejów i smarów, lecz lotnictwo ma dość wysoko-oktanowej benzyny. Ostatnio były różne wiadomości o trudnościach transportowych Niemiec, lecz generał Strong stwierdza, iż posiada wiele dowodów, że niemiecki system transportowy zarówno na kolejach jak i drogach pracuje wydajnie i należycie.

Sytuacja żywnościowa jest lepsza niż w czasie poprzedniej wojny. Wyżywienie oddziałów walczących i robotników w ciężkim przemyśle jest dobre, jeśli chodzi o wartości kaloryczne i jest lepsze aniżeli było na początku wojny w 1939 r. mimo że jest mniej mięsa i tłuszczów. Racje chleba, mąki i produktów zbożowych wynosiły w 1918 r. 40 uncji, a obecnie wynoszą 82 uncje i są tylko o dwie uncje mniejsze niż w 1939 r. Obszar ziemi pod uprawą rolną jest niewiele mniejszy niż był przed wojną, a ostatnie żniwa są najlepsze ze wszystkich lat wojennych i nawet lepsze niż w okresie przedwojennym.

Generał Strong podaje również cyfry, obrazujące

obecną słabość lotnictwa niemieckiego, lecz przestrzega przed przesadą. Do lipca 1943 r. produkcja lotnicza znacznie przewyższała normalne straty. Do tej daty produkcja wykazywała wzrost o 25%, i generał Milch, kwatermistrz lotnictwa niemieckiego, ma w rezerwie duże nadwyżki materiału lotniczego. Od tej daty produkcja spadła poniżej strat, lecz gdyby nasilenie walk lotniczych i bombardowań się zmniejszyło, Niemcy osiągną łatwo poprzednią równowagę.

Nie jest to przyjemny obraz i generał Strong dodaje że nie brakuje pod uwagę materialnego i psychologicznego efektu bombardowań lotniczych Sprzymierzonych. Stwierdza on, że miasta w zagłębiu Ruhry i Nadrenii oraz Hamburg i Berlin istotnie poniosły ogromne straty i doznały bardzo wielkich zniszczeń. W maju i czerwcu ubiegłego roku produkcja w zagłębiu Ruhry obniżyła się o 30%. Jest to równoznaczne ze stratą 3% całej produkcji przemysłowej Niemiec w tych dwóch miesiącach.

Ta część raportu kończy się następującą przestrogą. "To raczej my sami, a nie Niemcy stajemy się ofiarami własnej propagandy co do słabości Niemiec. Jeżeli będziemy się oszukiwali i osłabiali nasz wysiłek wojenny, możemy sami siebie pozbawić inicjatywy, nasi żołnierze będą bili się bohatercko w beznadziejnych walkach odwrotowych, a nieprzyjaciel będzie miał przewagę w ludziach i materiale."

Dokreślone ze sk. 8.

Lloyd George'a. Widocznie jednak że ten polityk nie mógł się obyć bez jej towarzystwa, więc się w końcu i ożenił. Ojciec panny Stevenson był Szkotem a matka Francuzką. Obecna Mrs. Lloyd George wierzy w znaczenie kobiet w życiu politycznym, ale wierzy również w regularne prowadzenie życia, świeże powietrze i wczesne kładzenie się do łóżka.

Pierwsza żona Lloyd George'a umarła w styczniu 1941 roku. Obecnie ten sędziwy b. brytyjski premier liczy 81 lat. Młoda małżonka jest młodszą od niego o 26 lat. Choć liczy 55 lat, podobno nie straciła wiele ze swej dawnej urody. Być może...

Pamiętnik Łotniera.

T. Sadowski.

Stąd już do Szczawnicy będziemy tylko schodzić w dół, a ponieważ zbyt wcześnie przybyć tam nie chcemy, więc grzejemy się i posilamy w pobliskiej chałupie, w oczekiwaniu na resztę kompanii. Po przybyciu ich stwierdzamy, że atleta / nawiasem mówiąc miły chłop /, pozostaje ciągle w tyle. Nabijamy się z niego, a profesor twierdzi, że to dlatego, że mu się usta nie zamykają od programowych i agitacyjnych przemówień.

Do Szczawnicy przychodzimy już po ciemku i jeden z przewodników, poza chałupami i podwórkami, przeprowadza nas do swojego domu, gdzie lokuje wszystkich w jednym małym pokoiku. Ciasnota okropna. Po ustawieniu obok siebie trzech łóżek / dla sześciu / i stołu, poruszać się trudno.

Gospodarz uprzedza nas, że należy zachowywać się cicho, żeby nawet nikt z sąsiadów nie wiedział, że tu jesteście. "Tutejsi ludzie" nie zdradzą ale mogą się przez nieostrożność wygadać, a nie wiadomo ile czasu tu będziemy musieli mieszkać. Na dwór wychodzić nie wolno. Świeczkę wieczorem można palić dopiero po szczelnym zaskłonięciu okien.

Tego jeszcze samego wieczora odbywany w kuchni / profesor i ja / naradę z dwoma dzielnymi miejscowymi ludźmi, w wyniku której po długich debatach zostaje ustalona osoba ewentualnego przewodnika, niejakiego Wojtusia i mniej więcej ustalona trasa, na Haligowce, Kieżmark, Preszów do Koszyc.

W Preszowie mamy punkt oparcia, w znanym profesorowi, żydowskim sklepie. A przy granicy węgierskiej, profesor wie gdzie mieszkają w pewnej wsi, chłopci, trudniący się przemytem tak towarów / mydła / jak i ludzi.

Wojtuś doprowadzi nas do Haligowic, gdzie jest również jakiś znany profesorowi Żyd, który dostarczy nam samochodu. Samochodem dostaniemy się najłatwiej i najbezpieczniej do Preszowa. Samochód ten będzie kosztować prawdopodobnie około 1000 koron, ale pewności nie ma, bo ceny Skowacy ciągle podnoszą, a targować się nie można. Ostatnio, kiedy profesor jeździł, kosztowała ta przyjemność 600 koron.

Zjawia się również wezwany Wojtuś. Góralisko jak drog. Góry zna z tej i z tamtej strony, aż do

Kieźarku. Decyduje, że pójdzie z początku sam i zbada stan dróg, t.j. czy wogóle da się przejść. Na Haligowce iść nie radzi, bo tam kogoś niedawno złapali i "finance" kręcą się ciągle. Ale o tym potem, jak wróci. Za przeprowadzenie chce 1000 złotych, jako, że to "la Ojczyzny, bo jakby la cego innego to i za dwa by nie poseł."

Z tymi pieniędzmi rzeczywiście kiepsko. Podróże nasze do i z Krynicy i Krakowa, kosztowały już sporo: każdy przewodnik kosztuje: za żywienie teraz musimy płacić dużo, bo żywność jest droga. Miał rację profesor, kiedy twierdził, że nic nie będzie za wiele.

Wobec tego, że niewiadomo ile dni tu będziemy razem mieszkali / szczęściu mężczyzn unieruchomionych, jak w więzieniu, w malutkim pokoiku /, wprowadzamy pewien rygor i obowiązujący wszystkich regulamin. Doza dyscypliny moralnej jest niezbędna.

Jedno łóżko na dzień się składa. Gospodarz dla rozrywki, dostarczył talię kart i paczkę brukowych opowieści kryminalnych. Wobec tego, że nawet z sześciu obecnych nie można złożyć partii bridża, odchodzi nieustający "tysiąc". Trzech gra w karty, reszta śpi i czyta, i tak na zmianę. Monotonia tego zajęcia przerywana jest przez gospozię, zjawiającą się z posiłkami. Sporo czasu i uwagi zajmują też dyskusje polityczne, które nasz młody socjalista prowadzi kolejno z każdym, wykazując przy tym tyle do tego zamiłowania, i impetu, że partnerów do dyskusji wyznaczamy kolejno / jeden nie dałby rady! / Dyskusyj tych obawiałem się pierwotnie, jako mogących działać na roznówców zbyt podniecająco, co w naszych warunkach nie było pożądane, ale przekonałem się, że niebezpieczeństwo to nie grozi, a naodwrot trochę gimnastyki umysłowej robi dobrze i pozwala zapomnieć o męczącym w skrytości niepokoju.

Postanowiono zatem, że Królowi wolno prowadzić propagandę, byleby się powstrzymywał od ryczenia potężnym barytonem rewolucyjnych pieśni, które zaprodukował nam zaraz, pierwszego dnia wspólnego pobytu.

Dla uniknięcia sporów wprowadziliśmy zasadę, że o trasie, naszych poczynaniach, miał decydować po

naradzie i w porozumieniu ze mną, profesor, jako najbardziej doświadczony. Narady nasze, aby nie komplikować wątpliwościami uczuć współtowarzyszy, odbywałyśmy zawsze w kuchni u gospodarzy. Reszta towarzysztwa, przyjmowała tylko do wiadomości to, co im uważaliśmy za właściwe i niezbędne zakomunikować. Najwięcej ze swoimi "radami" występował Jurek, ale i on ostatecznie nagiął się do ogólnego postanowienia.

I tak nam czas jakoś schodził. A trzeba przyznać, że wspólne zamieszkiwanie w tych warunkach, przez z górą tydzień, w czasie którego nikt się z nikim nie pokłócił, dowodzi bardzo dużo dobrej woli i opanowania, ze strony każdego z nas. Jedynie kłótnie jakie wynikały co wieczór, a raczej co noc, powstawały między Tomkiem a Królem, na temat, kto kogo spycha z łóżka i kto komu ściągnął koc. Spa- liśmy bowiem parami i tym dwom przypadła przyjemność nocnego obcowania z sobą, której ani rusz nie mogli uzgodnić.

Po sześciu dniach oczekiwania, powrócił Wojtuś / ■ drugim przewodnikiem swoim kolegą / i oświadczył, że:

"Droga bardzo ciężka, czasami można się zapaść w śnieg na wzrost człowieka, ale może i przejdziecie. Decydujcie sami" - zaznacza przy tym że trzeba iść nie na Haligowce, a szczytami przez Ryniawę, "gdzie Pan Bóg i orły", wprost na Toporzec w okolicę Podolińca, około 40 kilometrów marszu, omijając wsie i osiedla pograniczne,

Na mapie orientujemy się, że Podoliniec leży w głębi Słowacji, w linii powietrznej jakieś 25 - 28 kilometrów. Trasa może i dobra, ale bardzo ciężka. Wypoczynek tylko w szałasach górskich, teraz w zimie pustych. Przebyć ją trzeba jednym skokiem t.j. bez noclegów. Granicę i pogranicze **trzeba** minąć w nocy, tak aby dzień zastał nas już wysoko w górach.

Idziemy do towarzyszy, uprzedzamy ich jak ciężka będzie przeprawa i zapytujemy czy wszyscy czują się na siłach do jej odbycia. Wobec tego że decyzja brzmi "tak", zawiadamiamy Wojtusia, że na jego projekt się zgadzamy i dzisiaj wieczorem wyruszamy.

Wieczorem, zostawiamy u gospodarza resztki na-

szych rzeczy, nakładamy na siebie po kilka koszul i po kilka par skarpetek, a nogi owijamy szmatami z worków, aby się nie ślizgały. Do kieszeni pchamy wszystkie najkonieczniejsze drobiazgi, przewieszamy manierki z herbatą, przewodnicy biorą żywność i około godziny 8 wieczorem zegnamy się.

Gospodarz życzy szczęśliwej drogi i dodaje, że może się za tydzień zobaczymy na Węgrzech, bo w gminie mówili, że znowu mają "angażować" na roboty do Niemiec.

Zaraz za domem, po wyjściu na pole, jeszcze przy omijaniu Szczawnicy, poczuliśmy co nas czeka. Głęboki śnieg, pokryty lekką skorupą, zapada się pod nogami stale i każdy krok stanowi właściwie dobrą gimnastykę dla wszystkich mięśni.

Tomek i Król pozostają w tyle. Na pierwszy postój tuż za uzdrowiskiem, przychodzimy zgrzani, a kiedy dociągają marudery, pytam Tomka.

- Dojdiesz?

- Nie wiem - Niedobrze jest.

Idziemy jeszcze ze 2 kilometry i Tomek z Królem padają. Żaden z nas nie przypuszczał, że właśnie oni będą najmniej wytrzymali: obawiano się naogół o Jurka. Kiedy wyjaśnia się że nasi dwaj towarzysze absolutnie dalej nie pójdą i że musimy wracać, bo z ich odpadnięciem kasa nasza zostaje zdekompletowana, rozpacz nas ogarnia taka, jakby już wszystko było stracone. Wracamy z powrotem, mocno rozgniewani na kolegów i odprawiamy przewodników z tym, że pójdziemy za kilka dni: o terminie zawiadomimy ich.

Musimy znaleźć na miejsce Tomka i Króla nowych towarzyszy, którzyby uzupełnili zdekompletowany przez ich odstąpienie kapitał. Radzimy się w tej sprawie z naszym gospodarzem i ten zapewnia nas, że przeciw codziennemu przybywu w tym celu, więc się przepyta: towarzyszy znajdziemy.

My mamy czekać na wiadomość od niego.

Rano Tomek i Król odjeżdżają w drogę powrotną, przy pożegnaniu, jesteśmy wszyscy pochmurni i cokolwiek oziębli, a Tomek zapytuje:

- Czy Ty jesteś pewny, że Jurek dojdzie?

- Tak!

Humory poprawiają się kiedy wieczorem przychodzi gospodarz i zawiadania nas, że dwaj nowi kandydaci maszerują już w tej chwili przez góry i za jakąś godzinę tu będą. Więc jutro, albo pojutrze, zależnie od przewodników, możemy znowu ruszyć. Nowi towarzysze mają trochę pieniędzy i trochę złota, więc luka będzie uzupełniona. Jednocześnie Zbyszek informuje nas, że przed nami poszła już, czy też pójdzie, inna wyprawa, takiej samej grupy jak nasza, z przewodnikiem z konsulatu naszego z Budapesztu. Idą oni mniej więcej w tym samym co i my kierunku, więc możemy po drodze wypytywać się jak oni przeszli.

Ponieważ przewodnicy decydują się wyruszyć pojutrze, więc czekamy jeszcze dwa dni, ale następnego już dnia przenosimy się na inne mieszkanie, do Szczawnicy Dolnej. Chodzi o to, by przy wyruszeniu wieczorem nie trzeba było okrążyć zamarłego zupełnie po godzinie policyjnej miasteczka, a od razu z chałupy robić skok w góry. Przeprowadzka nasza odbywa się w biały dzień, środkiem głównej, dość krętej ulicy. Na przedzie idzie jeden przewodnik, za nim my w odległości kilkudziesięciu metrów, a na końcu drugi przewodnik. Na całej trasie we drzwiach swoich chałup stoją gospodarze i przychylnie kiwiają na nas.

- Idźcie, idźcie, tam ludzie uważają.

Solidarność rozczulająca, ale trochę mi niewyraźnie, że za dużo ludzi już wie o nas. Jeszcze jedna noc mija i nakoniec ruszamy.

Naprawdę już. Cofać się nie będziemy!

Pierwszy skok, przez mostek, główną drogą i w śnieg między chałupy, jest zaiste morderczy. Pośpiech nakazany dlatego, że rzadkie w dzień patrole, w nocy chodzą po drodze gęsto, a mają i psy. Poza tam droga jest pusta. Łapiemy dech i wrywamy w górę po przeciwnej stronie doliny Szczawnickiej. Byle prędej, byle dalej, tam odpoczniemy. Brniemy więc w zaspach po pas, ciągle nasłuchując co się dzieje z tyłu, dobywając naprawdę wszystkich sił, i wpadamy do wąwozu między dwie góry, wyczerpani do ostateczności. Wojtuś daje znak że można spocząć. Mnie pot oczy zalewa, Jurek tchu złapać nie może, inni tak samo.

c. d. n.

Co Niemcy myślą o Anglii?

Redaktor A. J. Cummings pisze na łamach "News Chronicle" w dziale politycznym, dotyczącym tak spraw wewnętrznych jak i zewnętrznych. Jego krótkie ujęcia p.t. "SPOTLIGHT" możnaby nazwać wiadomościami "między wierszami". Niektóre z nich są świetnie ujęte i dają w paru krótkich rozdziałach bardzo cenne informacje. Są one przy tym napisane niejednokrotnie tak ciętym piórem, że sprawiają człowiekowi przyjemność przy ich odczytywaniu.

Każdy Anglik myśli dzisiaj o drugim froncie. Nie tylko myśli, ale i mówi. Mało jest ludzi, dokładnie poinformowanych, gdzie i kiedy ten drugi front zostanie otwarty. Zmieściliby się oni pewnie wszyscy razem w niewielkim podmiejskim salonie.

Niemcy także starają się odgadnąć tę trapiącą ich tajemnicę i ciągle puszczają próbne balony, aby coś niecoś o tym wysondować. Ostatni taki balonik donosił, iż inwazja napewno rozpocznie się około 15-go b.m. Wszystko, co potrafili oni jednak spenetrować i stwierdzić napewno, było zaledwie odkryciem pewnych przygotowań oraz różnych innych oznak, zapowiadających akcję na wielką skalę.

Interpretują przy tym rosnącą siłę rosyjskich ataków na Wschodzie, jako pewne odwrócenie uwagi, zmuszające Niemców do większego skupienia tam swych sił. Są oni jednak optymistami, jeżeli sądzą iż gwałtowność rosyjskiej ofensywy doszła już do swego zenitu. Stalin szykuje dla Niemców w roku bieżącym jeszcze coś lepszego. Mamy podstawę do twierdzenia, że wkrótce może nastąpić taką grozą przejmujące uderzenie, jakiego historia jeszcze nie znała.

Effekt rosnącego zagrożenia Niemców daje się doskonale odczuć w propagandowych wystąpieniach nieprzyjaciela. Propaganda ta staje się coraz bardziej chaotyczną. Gmatwa się ona straszliwie, często jest sprzeczna sama ze sobą i kierunek jej zmienia się nieleddie z dnia na dzień.

Radio niemieckie nadaje obecnie ciągle na użytek wewnętrzny śmieszne i bezpodstawne wiadomości o rzeźmowych zwycięstwach na lądzie i morzu, a często bar-

dzo i w powietrzu. Opisując życie w Londynie, podaje wypadki zdarzającego się tu kannibalizmu pośród głodujących, rozgoryczonych i zdemoralizowanych Londyńczyków. Opowiadają swym obałamucenym i ogłupiałym słuchaczom, że uzbrojone posterunki ustawione są przed każdym wejściem do kolejki podziemnej, ażeby móc natychmiast interweniować w czasie zdarzających się ciągle wybuchów paniki pośród ludności cywilnej. Panika taka wybucha na tle przeraźliwego strachu, ogarniającego tłum, przypuszczający za lada jakim dźwiękiem, że rozpoczęła się już akcja rzekomo straszliwej "tajemniczej niemieckiej broni".

To ciągle jednak używanie sobie przez propagandę niemiecką na tej swojej tajnej broni wywołało swoją drogą pewien efekt, gdyż ludzie ostatnio zaczęli...o tym dość dużo mówić. A niektóre informacje są po prostu aż zadziwiające...

Stali bywalcy barów i "pub'ów" wdają się często w naukowe dysputy na ten temat, o możliwościach i potędze tej nieznannej jeszcze broni.

Wielu z tych świetnych "fachowców i strategów", szeptem i pod wielkim sekretem podzieliło się z korespondentem co do swych rzeczywiście źródłowych i pewnych informacji.

A brznią one:

1. - Tajemnicza broń jest napewno raketowym działem, ustawionym w miejscowości X.
 2. - Liczba tych dział wynosi okrągłą setkę.
 3. - Wszystkie one ostatnio zostały zniszczone przez brytyjskie bombowce, oraz przez miejscowy sabotaż.
 4. - Jedno z tych dział zdołano zdobyć i przynieść do Anglii, gdzie zostało dokładnie zbadać i wypróbowane. I wreszcie:
 5. - Że wogóle nic podobnego nie istnieje.
- Jest to, rozumie się, sezonowa obfitość wiadomości.

Rzeczywistą i absolutną pewnością jest to, że ani brytyjskie władze, ani naukowci doradcy rządu nie uważają tej broni za fikcję, wylęgłą w niemieckiej imaginacji i jej sobie wcale nie lekceważą. Władze poważnie się nią zainteresowały, a dokładne

badania w tym kierunku przeprowadzają już od dłuższego czasu.

W kołach oficjalnych najbardziej się zastanawiają nad faktem zwłoki w zastosowaniu przez Niemców tej jakoby straszliwej broni, mającej rzekomo służyć dla odpłacenia Wielkiej Brytanii za straszliwe zbombardowanie Berlina. Istnieje jednak pewne logiczne wyjaśnienie tej zwłoki.

Na Zachodzie Niemcy ostatnio skoncentrowali dość poważną siłę średnich i ciężkich bombowców. Według otrzymanych informacji, na wschód od Berlina, dwie lub trzy fabryki pracują specjalnie przy konstrukcji czteromotorowych bombowców, przeznaczonych specjalnie dla ciężkiego zbombardowania Anglii.

Niestety, produkcja tych bombowców jest jeszcze nader niską, a niemieckie naczelne dowództwo nie chce ryzykować większych strat w sukcesywnie następujących po sobie poważnych nalotach. Ostrożność ta jeszcze bardziej została zwiększona ze względu na możliwość otwarcia w niedalekim czasie drugiego frontu.

Zużycie zapasowych bombowców przed tym tak poważnym z wojskowego punktu widzenia momentem, byłoby nadzwyczaj ryzykownym krokiem. Z tego by wynikało, że nieprzyjaciel stara się zachować swą potęgę powietrzną na najcięższą godzinę.

Wtedy to Niemcy zaczęli bombardować jaknajintensywniej brytyjskie centra, nie wyłączając Londynu, a szczególnie porty, w których przeprowadzać się będzie załadunek armii inwazyjnej, jak również i punkty na Kontynencie, w których nastąpi desant.

Jeżeli poczekamy cierpliwie kilkadziesiąt dni, to przekonamy się o prawdziwości powyższych przewidywań...

ADMINISTRACJA "CO SŁYCHAĆ" PRZYJMUJE DO WYKONANIA
DRUKI POLSKIE I ANGIELSKIE, JAKO TO ULOTKI, KARTY
LEGITYMACYJNE, KRÓTKIE BROSZURY I T. P.

WYKONANIE SZYBKIE.

Redakcja posiada jeszcze na składzie roczniki Tygodnika z roku 1942 i 1943. Także numery pojedyncze z roku 1940 i 1941.